

rozdział I

Lubił to miejsce. Miasto było o krok, a tu panował spokój. Las pachniał jak na wsi, czasem rozlegał się głos rozbawionego psa czy ktoś wolnym krokiem przechodził w pobliżu. Przez gałęzie drzew, lekko drgające pod wpływem łagodnego, wieczornego wiatru, migotały gwiazdy, jakby z góry dawały tajemnicze znaki. Z rzadka tylko dolatujące odgłosy miejskie: krótki, ostry klakson, przytłumiony jęk syreny stoczniowej albo gwizd parowozu ciągnącego wagony ruchliwą trasą do Gdyni były jakieś nierealne. Stawał się tutaj częścią lasu, przyrody, czuł w sobie wyrozumiałość, nawet życzliwość, właściwą dojrzałemu wiekowi, płynącą ze świadomości, że swoje już przeżył, sprawiającą, iż nie raziły go pary pośpiesznie skręcające głębiej w krzaki na jego widok lub niekrępujące się wcale, przytulone ciasno i całujące się zapamiętane.

Niedaleko miał do tego zakątka. Ulica Morska, której wylot dotykał najruchliwszej arterii Trójmiasta, tutaj dochodziła prawie do samego lasu. Wystarczyło wyjść z domu, skręcić w lewo, przespacerować kilkaset kroków i już zaczynał się ten las-park. Nieuporządkowane i przez to sympatyczne alejki prowadziły między wzgórz przez polanki i dolinki, zakątki, gdzie można się było ukryć, posiedzieć na ławce albo jeszcze lepiej, gdy słońce mocniej przygrzewało – na trawie, wystawiając twarz ku ciepłu płynącemu z nieba. Było tam miejsce szczególnie przez niego ulubione, do którego musiał iść dość długo, wspinać się wysoko. Ale za to, kiedy osiągał szczyt wzgórz, na którym niegdyś zbudowano coś w rodzaju

małej baszty otoczonej metalową barierką, miał przed sobą piękną, rozległą panoramę. Nad koronami drzew wzrok swobodnie biegł aż ku zatoce, całkowicie wypełniającej horyzont, o kolorze i wyglądzie zależnym od pogody, pory dnia i roku. Raz była bładoniebieska, łagodna, spokojna, to znów biaława, okryta lekką, drgającą mgiełką, kiedy indziej ciemniała jak butelkowe szkło, robiła się granatowa, poważna i obca. Widać stąd było statki posuwające się ruchem nie od razu dostrzegalnym dla oka, idące w kierunku Gdyni lub od razu za ostrogą portową kierujące się bardziej na północ, ku otwartemu morzu za Półwyspem Helskim, a nieraz wyczekujące cierpliwie na wprowadzenie do portu.

Morze i wszystko, co się na nim działo, było tłem dla obrazu, który rozpościerał się bliżej, tuż za zieloną fasadą drzew. Miasto wypełniało tę przestrzeń, jak tylko mógł sięgnąć wzrok. Spomiędzy czerwonych dachów wyrastały szare bryły wysokich nowoczesnych bloków o oknach jarzących się czerwonymi odblaskami zachodzącego słońca, bodły niebo charakterystyczne gdańskie wieże: tępa, potężna – kościół Mariackiego; wysmukła, połyskująca złotą figurą króla Zygmunta – Ratusz Głównomiejskiego, a wokół nich wiele innych, już niższych.

Teraz, po zmroku, nie widział tego wszystkiego tak dokładnie. Tylko światła miasta, mrugające jak gwiazdy w górze, wyznaczały obszar tętniący życiem.

Szedł w dół. Wieczór był wyjątkowo ciepły, nie taki jak zazwyczaj u schyłku lata, gdy chłód i wilgoć wciskają się za kołnierz. Toteż nie spieszył się. Z bocznej ścieżki, wiodącej skrótem od jego ulubionego punktu widokowego, wyszedł na nieco szerszą alejkę. Już niewielka przestrzeń dzieliła go od pierwszych zabudowań, a dalej była Morska i w pobliżu dom, w którym mieszkał.

Niedaleko zabrzmiał krótki, nerwowy śmiech kobiety. Zaraz jednak ucichł i tylko szelest krzaków wskazywał miejsce, w którym ktoś się znajdował. Z rejonu stanowiącego zaplecze domów akademickich dobiegały dźwięki gitary i niewyraźny, przytłumiony śpiew.

Dochodził do skraju lasu. Już widział przed sobą ciemny asfalt ulicy i nikłe światło latarni. Krzyk zabrzmiał nagle i sprawił, że stanął przestraszony. Znów krzyk. Dreszcz przeszedł mu po plecach, a serce zaczęło bić szybciej.

Ktoś krzyczał przeraźliwie, rozdzierająco, w śmiertelnym niebezpieczeństwie.

– Aaaa!

Głos załamał się i przeszedł w skowyt jak u katowanego psa, a potem wybuchnął wezwaniem:

– Na poomoc!

Usłyszał też inne niewyraźne głosy przekleństwa, zawołanie: – Zatkaj mu pysk!

To było całkiem blisko. Gdy krzyk ucichł, słyszał odgłosy szamotaniny, zduszone słowa, sapanie, uderzenia i szuranie nóg. Wreszcie gwałtowny tupot ucieczki, gonitwy, sapanie, odgłosy uderzeń, charkot bitego człowieka, klaskanie butów po asfalcie towarzyszące wołaniu:

– Trzymaj go!

Nie namyślał się ani chwili, gdy otrząsnął się z szoku, w jaki wprowadził go rozpaczliwy krzyk, tak brutalnie wdzierając się w miły nastrój. Nie pomyślał, że mogą to być bandyckie porachunki, do których lepiej się nie mieszać. Nie przyszło mu także na myśl, że napastników może być kilku, w dodatku silnych, młodych i bezwzględnych, wobec niego jednego, co lato życia dawno miał za sobą. Nie miał czasu myśleć o tym wszystkim. Poderwał się, pchnięty pierwszym odruchem człowieka przyzwyczajonego reagować na krzywdę, na wszelki sygnał alarmowy.

Skoczył najszybciej jak mógł przed siebie. Z góry łatwo mu było dobiec do miejsca, w którym rozgrywała się bójka. Było to tuż na skraju ulicy, pod pierwszymi krzakami. W słabym oświetleniu niewyraźnie widział kotłujące się sylwetki ludzkie. Nieprzytomnie jazgotał pies na terenie pobliskich zabudowań, światło w oknach wskazywało, że ludzie są w domu, a krzyk był tak głośny, iż musieli go słyszeć, nikt jednak nie wyszedł na pomoc. Wpadł pomiędzy skłębione, ruchliwe ciała.

– Stój! – krzyknął, jak umiał najgłośniej. – Zostawcie go! – Zamachnął się i z całej siły uderzył najbliższego. Ten krzyknął nie tyle z bólu, ile ze zdziwienia.

Napadnięty, widząc, że ktoś przyszedł mu z pomocą, natychmiast rzucił się do walki, uderzył drugiego.

Ale napastników było trzech. Szybko zorientowali się, że na pomoc przybył tylko jeden człowiek, toteż rzucili się na niego. Poczul silne kopnięcie w nogę, a przed ciosem w głowę zdołał się osłonić, sam nie rezygnując i razem z napadniętym nie żałując ciosów.

Niespodziewanie z boku rozległy się okrzyki:

– Tu, szybciej!

– Milicja! – krzyknął starszy człowiek, byli to jednak studenci z pobliskiego akademika, ściągnięci odgłosami awantury.

Teraz sytuacja się zmieniła. Tamci trzej od razu odskoczyli i wpadli w krzaki.

– Gońcie, tam, uciekają! – wzywał rozedrganym głosem młody poszkodowany człowiek.

Sam pierwszy rzucił się za uciekinierami, ale student chwycił go za ramię.

– Stój, zwariowałeś? Kto ich znajdzie w lesie? Zaczają się i może być źle.

Od strony latarni rozległ się tupot nóg. Wszyscy spoj-

rzeli w tamtą stronę. Ujrzeni trzech ludzi w mundurach i czapkach z paskami pod brodą, biegiem zbliżających się w ich kierunku.

– Jest milicja – stwierdził ktoś.

– Panowie, zmywamy się, jesteśmy już niepotrzebni, władza da sobie radę sama. – I studenci, nieciekawi epilogu tej historii, odeszli.

Napadnięty dyszał ciężko. Mężczyzna poczuł zalewający od niego alkohol. Światło latarni wydobywało z mroku sylwetkę młodego chłopaka w poszarpanym ubraniu, z potarganymi włosami, pokrwawioną twarzą. Chciał się do niego odezwać, kiedy nagle stało się coś nieprzewidzianego.

Milicjanci byli blisko – na tle świecącej z tyłu latarni wyraźnie rysowały się ich umundurowane sylwetki. Chłopak nagle szarpnął się, uskoczył w bok i chciał dać nura w krzaki. Nawet nie spojrzał na człowieka, który mu przybył na ratunek.

Mężczyzna znów zadziałał odruchowo. Błyskawicznie złapał chłopaka za rękę i przytrzymał.

– Stój! Gdzie to?! – rzucił ostro.

– Zostaw pan! – Chłopak szarpnął się, ale nie zdołał wyswobodzić ręki.

Milicjanci byli już przy nich, otoczyli, któryś zaświecił ręczną latarkę.

– Co jest? Co tu się stało? – zapytał plutonowy, dowódca patrolu.

– Nic, wszystko w porządku – odpowiedział chłopak.

Teraz już stał spokojnie, a nawet przysunął się bliżej do starego człowieka, jakby u tego obcego szukał opieki.

– Kto tu wołał o ratunek?

– Napadli go. – Mężczyzna puścił wreszcie rękę chłopaka. – Była bójka, jest pokrwawiony.

– Kto cię napadł? Znasz ich? – Światło milicyjnej latarki wydobyło z mroku podrapaną, spoconą twarz chłopca.

– Tacy jedni... Nie znam – bąknął niezbyt pewnie.

– Naprawdę? – Milicjant podejrzliwie przeciągnął pytanie. Nagle zwrócił się do mężczyzny:

– A wy, obywatelu? Coście za jedni? Skąd się tu wzięliście?

– Ratowałem go, interweniowałem – odparł z godnością starszy człowiek.

– Aha. A przed kim?

– Było ich trzech. Uciekli tam, do lasu. – Ruchem głowy pokazał kierunek.

– Za co cię napadli? – Milicjant przysunął się bliżej do poszkodowanego, a ten cofnął się o krok.

– Nie wiem. Skąd mam wiedzieć. Nie znam ich...

– Tak sobie spokojnie szedłeś i nagle cię napadli, co? I wcale nie wiesz, kto to był? – Głos milicjanta był coraz bardziej ironiczny.

Chłopak nie odpowiedział. Przejechał dłonią po twarzy i stał krew z rozbitej wargi.

– Pokaż no, bracie, dokumenty.

Chłopak poruszył się niespokojnie. Nadal nie odpowiadał. Mężczyzna przysłuchiwał się w milczeniu. Wyczuwał, że chłopak boi się milicjantów. Był trochę oszołomiony całym zajściem, nie bardzo wiedział, jak ma się zachować. Próba ucieczki, a teraz te objawy strachu wskazywały, że ma do czynienia z jednym spośród owych młodych ludzi, którzy wolą mrok od światła, unikają kontaktów z przedstawicielami władzy, a swoje porachunki załatwiają między sobą.

– No, słyszałeś? – ponaglił dowódca patrolu.

Chłopak skulił się. Spojrzał na swego wybawcę i mężczyzna przez moment dostrzegł w szarym świetle

błysk jego przerażonych oczu.

– Nie mam – powiedział cicho chłopak.

– Nic, żadnego papierka nie masz? – zdziwił się milicjant.

– Nic.

– I tak chodzisz po świecie bez żadnego dowodu albo legitymacji?

– Ja... eee... zostawiłem w domu.

– Tak? To może powiesz, gdzie mieszkasz? Pójdziemy z tobą albo damy znać, żeby ktoś przyniósł dokumenty, a ty sobie poczekasz w areszcie...

– W areszcie? Za co, panowie, to mnie pobili... – W głosie chłopaka zadrgał taki lęk, że mężczyzna niespodziewanie poczuł litość. Postąpił krok naprzód i odezwał się:

– Panowie, zostawcie go, przecież widzicie, że jest pobity. To rzeczywiście jego napadnięto.

– A pan co? – Plutonowy przysunął się do mężczyzny i błysnął mu w twarz latarką.

– Już przecież mówiłem, udzielałem pomocy, widziałem wszystko.

– Proszę o dokumenty.

– Ja?

– Tak.

– A to dlaczego?

– Sam pan mówi, że był świadkiem zajścia.

– Proszę.

Mężczyzna był zdenerwowany. Nieco trzęsącymi się palcami wyjął portfel, poszperał w nim przez chwilę i wyjął dowód osobisty. Milicjant przez cały czas usłusznie mu przyświecał. Potem wziął dokument, uważnie go obejrzał, zapisał w swoim notesie imię, nazwisko i adres.

Zwrócił się do chłopaka.

– A ty, synku, pójdziesz z nami.

– Ale za co, dlaczego?...

Mężczyzna sam nie wiedział, co nim kierowało. Niespodziewanie ujął chłopaka pod ramię, przyciągnął do siebie i powiedział:

– Zostawcie go, panowie. Ja go odprowadzę do domu.

– Pan? Pan go zna?

– Ależ oczywiście. To syn sąsiadów. Wyszliśmy razem, żeby się przejść. Często ze mną wychodzi wieczorem. Dziś napadli go, a ja mu pomogłem.

– Coś mi tu nie gra – mruknął drugi milicjant.

– Czemu pan od razu nie mówił, że to znajomy? – nie dowierzał plutonowy.

– Bo pan mnie nie pytał. Mieszkamy tu, niedaleko, przy Morskiej.

– To niech mu pan powie, żeby na przyszłość nosił ze sobą jakiś dokument. Następnym razem wyląduję w komendzie.

– Oczywiście, mógłbyś coś mieć przy sobie – skarcił chłopaka starszy pan. – Chodź, w domu będą przerażeni twoim wyglądem. Jeszcze i mnie się dostanie...

Ruszył z wolna w dół, trzymając chłopaka pod rękę. Milicjanci rozstąpili się niechętnie. Jeden z nich powiedział półgłosem:

– A ja bym go jednak wziął i sprawdził...

Nikt mu nie odpowiedział. Cała trójka milicjantów ruszyła także w dół ulicy o parę kroków za oddalającymi się mężczyznami.

Prowadził chłopaka wolno, silnie przyciskając jego ramię do swego boku. Wyczuwał, że tamten drży, jest napięty i czujny. Gdy doszli do miejsca, w którym należało skręcić w lewo, w ulicę Morską, mężczyzna poczuł, że chłopak drgnął, jakby chciał się

wyrwać i skoczyć przed siebie, na pola za akademikami. Z całej siły przytrzymał go i rzucił ostrym szeptem:

- Nie rób głupich kawałów.
- Co pan? – zachnął się chłopak.
- Idą za nami. Dogonią cię i ja też będę miał przykrości.

Napięcie u chłopaka zelżało. Teraz już pozwalał się prowadzić. Szedł krokiem ciężkim, niemal się zataczał. Był zmęczony tym, co przeżył przed chwilą, a i nie całkiem trzeźwy.

Milicjanci uparcie kroczyli za nimi. Nie spuszczała ich z oczu. Chłopak obejrzał się ukradkiem.

- Idą? – zapytał mężczyzna.
- Idą. Przyczepili się...
- Chodź spokojnie, oni podejrzewają, że ich okłamałem.

– Dokąd mnie pan prowadzi?

– Chodź. Naprawdę mieszkam tu blisko, o, w tamtym domu.

- Oni poczekają na dole.
- Tak bardzo ich się boisz?

Chłopak nie odpowiedział. Mężczyzna spojrzał na niego spod oka i zobaczył chmurną minę, spuszczone oczy, zły wyraz pokiereszowanej twarzy. Odczuł lekki niepokój, ale zarazem i żal.

- Nie bój się – powiedział. – Nie zostawię cię...
- Co pan! – Chłopak poderwał głowę. – Nie boję się.

Nic nie zrobiłem.

– Dobrze, dobrze, chodź.

Ciągle nie zastanawiał się nad tym, co robi. Był po prostu konsekwentny. Skoro raz postanowił ochronić chłopaka i udzielić mu pomocy, nie mógł się już cofnąć. Rozumiał, że teraz sam miałby poważne kłopoty z milicjantami, którzy wciąż czujnie ich obserwowali.